

Monika Strus-Wołos

Jeszcze o „adwokaturze Grishama” – odpowiedzi adw. O. Sztejnert i adw. A. Tomaszkowi

Palestra 50/5-6(569-570), 142-143

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

POLEMIKA

Monika Strus-Wołos

JESZCZE O „ADWOKATURZE GRISHAMA” – ODPOWIEDZI ADW. O. SZTEJNERT I ADW. A. TOMASZKOWI

Dobrym obyczajem jest, aby nie przeciągać nadmiernie dyskusji polemicznej. Muszę jednak skorzystać z prawa repliki, skoro w interesującym artykule adw. Olgi Szejnert (*W obronie tzw. „advokatury Grishama”*, „Palestra” 2005, Nr 3–4) znalazły się zarzuty wobec treści, których nigdy nie wypowiedziałam.

Autorka w odpowiedzi na mój artykuł (*Oczami prowincjuszy*, „Palestra” 2005, Nr 1–2) pisze następująco: „Nie zgadzam się na podział advokatury na złą mniejszość, skupioną w «kilku stołecznych firmach prawniczych» oraz dobrą większość, tj. tysiące kancelarii w miastach i miasteczkach”, a następnie trafnie uzasadnia, że wykonywanie pracy w dużych kancelariach jest trudne, że wymaga dużej wiedzy i znajomości zasad etyki. Problem w tym, że nigdy nie stawiałam tezy, aby któraś z form wykonywania zawodu mogła być lepsza lub gorsza, a tym bardziej, że jedynie adwokaci z małych kancelarii zachowują się etycznie, bo – jak to w życiu bywa – „czarne owce” bywają wszędzie.

Z poglądami adw. Szejnert całkowicie się zgadzam. Co więcej, znam specyfikę pracy w dużej kancelarii z własnego kilkuletniego doświadczenia. Wiele się tam nauczyłam merytorycznie, wiele tej pracy zawdzięczam. Poznałam blaski i cienie obu form wykonywania zawodu. Chyba nikt rozsądnie myślący nie może dziś zanegować pozytywnej roli odgrywanej przez tzw. firmy prawnicze. Są one konieczne, gdyż obsługują ważny sektor rynku usług prawniczych i skutecznie konkurują z zagranicznymi prawnikami (choć w dalszym ciągu uważam, że słowo „rynek” w odniesieniu do tych usług nie jest najszcześniejsze). Jeżeli więc pisałam uwagi krytyczne w kontekście „advokatury Grishama” pod adresem kilkunastu firm lansujących pomysł zastąpienia aplikacji advokackiej krótką praktyką w takich firmach, to jedynie po to, aby uchronić młodych absolwentów prawa przed niebezpieczeństwem wykorzystywania ich jako taniej siły roboczej w zamian za nic niedające zaświadczenie uprawniające do zdawania egzaminu advokackiego. Wszak w powie-

ściach Grishama młody pozytywny bohater był z reguły nieludzko wykorzystywany do granic fizycznej możliwości przez wielką korporację. Natomiast nie widzę nic złego w odbywaniu aplikacji adwokackiej w dużej kancelarii, jeżeli pozostanie instytucją patronatu. Inną rzeczą jest, jak patron będzie wywiązywał się ze swoich obowiązków, ale tu przykłady negatywne można znaleźć przecież także w małych i średnich kancelariach. To już kwestia poczucia odpowiedzialności konkretnej osoby.

Nie godzę się więc na przedstawianie mnie jako przeciwnika dużych kancelarii, bo jest to po prostu nieprawda. Raz jeszcze podkreślam, że nie uważam którejsz z form wykonywania zawodu za lepszą od drugiej.

Odnosnie natomiast do artykułu adw. A. Tomaszka (*Widziane z Warszawy*, „Palestra” 2005, Nr 3–4), stanowiącego również odpowiedź na mój artykuł, to chyba nie ma sensu polemika z wygłaszanymi wbrew faktom twierdzeniami Autora w rodzaju: „arytmetyka dowodzi, że to w zasadzie izba warszawska utrzymuje ze swoich składek adwokackich naczelne władze adwokatury”. Wedle mojej wiedzy 23,4% nigdy nie może stanowić większości, a tyle właśnie procent ogółu adwokatury to członkowie izby warszawskiej (dane z końca marca br.). Myślę też, że przyczyną migracji młodzieży prawniczej do Warszawy nie jest „postępowość” tej izby lub „zacofanie” pozostałych. Przyczyny są bardziej prozaiczne – Warszawa jako stolica jest centrum finansowym i biznesowym kraju. Zwyczajnie łatwiej tu o klienta.

Muszę jednak zaprotestować przeciwko nierzetelnej metodzie prowadzenia polemiki przez Autora. Zarzucił mi bowiem, że zajmując się problemem małych izb, nie dostrzegam innych problemów („Szkoda, że Autorka skupiła się na problemie małych izb, bo liczyłem na dyskusję w innych kwestiach, jak wizerunek adwokatury, problem nuworyszowskich zachowań niektórych kolegów, kryptoreklama w mediach, czy udział przedstawicieli samorządu w procesach legislacyjnych”). Tymczasem adw. A. Tomaszek woli nie pamiętać, że temat likwidacji małych izb wywołał on sam, i to aż trzykrotnie: nie tylko na łamach „Palestry”, ale także w prasie szeroko dostępnej, jak „Rzeczpospolita”. Kiedy zaś krytycznie odpowiedziałam na ów poruszany przez Autora temat, obruszył się on, że zajmuję się kwestią nieistotną i zarzucił, że nie dostrzegam innych, ważniejszych. Otóż dostrzegam. Uznałam jednak, że naszej adwokaturze bardziej niż kolejny krytyczny artykuł przyda się moja praca w samorządzie, i to nie tylko na szczeblu izby (udział w pracach kilku zespołów lub komisji przy NRA). Do czego zachęcam gorąco także adw. Andrzeja Tomaszka.